



BEZPŁATNA GAZETA STUDENTÓW WYDZIAŁU NAUK POLITYCZNYCH I Dziennikarstwa

BARDZO UNIWERSYTECKIE CZASOPISMO

**Kiedy za oknem
szaro i ponuro
– sięgnij po BUC-a
i rozkoszuj się kulturą!**

W nocy z 29 na 30 listopada ponownie czas staje w miejscu, atmosfera potrafi być niezwykle intrygująca, w powietrzu omalże czuć charakterystyczny zapach wilgoci, a ziemię spowija gęsta mgła. Każda panna w zaciszu swego domu, spoglądając w okno, po którym powolutku ciekłą stróżki deszczu, myśli o tym czy uda jej się poznać imię Tego Jedynego, a z kolei każdy szanujący się kawaler, wyobraża sobie jaką małżonkę zgotował mu los. Jedno jest pewne, we dwoje czekają na to, by dać szansę przeznaczeniu, poznać swoją przyszłość, a przy tym uczestniczyć w niezapomnianej zabawie do rana. Czy właśnie tak wyglądały kiedyś popularne dzisiaj „andrzejki”? Czy obecnie dalej spełniają one swoje pierwotne założenia?

Wieczór wróżb odprowadzany jest w nocy z 29 na 30 listopada, w wigilię świętego Andrzeja, patrona Szkocji, Grecji i Rosji. Pierwsza polska wzmianka literacka o nim pojawiła się w 1557 za sprawą Marcina Bielskiego. Dzień ten przypada na koniec lub na początku roku liturgicznego. Andrzejki są specjalną okazją do zorganizowania ostatnich hucznych zabaw przed rozpoczynającym się adwentem. W Szkocji obchodzony 30 listopada dzień świętego Andrzeja jest świętem narodowym. Warto dodać, że obrzędy z nimi związane daleko wykraczają poza znane nam lanie wosku i tańce. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wszystkie polskie dziewczęta na wydaniu wiedziały, że w imieniny św. Andrzeja mają szansę dowiedzieć się, jak ułoży im się życie uczuciowe. O ile dziś to walentynki uważamy za święto zakochanych, o tyle kilka dekad temu to św. Andrzej patronował pragnącym miłości pannom, zaś patronką chętnych na ożenek kawalerów była św. Katarzyna (4 listopada). Z biegiem czasu andrzejki wchłonęły obchody katarzynek, a chłopcy zaczęli świętować razem z dziewczętami. Co ciekawe, andrzejki mogą wywodzić się już z czasów... starożytnej Grecji. Imię Andrzej jest kojarzone ze starogreckim andros i aner, oznaczającymi męża bądź mężczyznę lub andreios (dzielnny, mężny), nawiązującym do męczeńskiej śmierci św. Andrzeja. Inne źródła mówią o starogermańskim pochodzeniu andrzejek, związanym z kultem boga płodności, miłości i bogactwa.

Wróżby andrzejkowe

Bez wątplenia tym, co cieszy zarówno dorosłych, jak i dzieci, i jest nie-

Noc świętego Andrzeja, czyli o tym dlaczego od wieków przelewamy wosk przez dziurkę od klucza



Wróżby andrzejkowe

odłącznym elementem zabaw andrzejkowych, są wróżby. Jest ich całe mnóstwo, zależnie od regionu Polski, jakiemu się przyjrzymy. Warto jednak zacząć od tych, które są najbardziej popularne i tym samym znane większości gości. Pierwszą z nich jest oczywiście przelewanie wosku przez dziurkę od klucza. Chodzi o to, by wylać gorący wosk do naczynia z zimną wodą, poczekać aż zastygnie i doszukiwać się różnego rodzaju symboli w nowopowstałym kawałku. Przydatna może okazać się praca z cieniem wspomnianego wcześniej kawałka. Kolejną z typowych zabaw andrzejkowych jest wyścig butów. Każdy z uczestników musi oddać jednego buta. Co ważne, konieczny jest lewy trzewik! Następnie całe obuwie ustawiamy w jednym z rogów pokoju. Powoli przekładając ostatni but z kolei na sam początek, tworzymy linię, która kieruje się w stronę drzwi. Zabawę wygrywa ten, którego but jako pierwszy dotknie progu. Oznacza to tym samym, że osoba ta jako pierwsza ze zgromadzonego towarzystwa weźmie ślub. Trzecią już tradycją andrzejkową, popularną szczególnie na Mazowszu jest konkurs na „najdłuższą obierżynę”. Do tej zabawy musimy przygotować tej samej wielkości jabłka, które następnie uczestnicy

będą obierali. Komu uda się uzyskać najdłuższą obierżkę, tego związek będzie miał najdłuższy staż. Zabawa może mieć ciąg dalszy – każdy uczestnik rzuca swoją obierżynę za siebie i w kształcie, w jaki się ona ułoży, może dopatrywać się litery, która będzie inicjałem jego przyszłej miłości. Karteczki pod poduszką. Na małych karteczkach wypisujemy imiona (mogą to być najpopularniejsze imiona płci przeciwnej lub kolegów i koleżanek). Karteczki składamy, umieszczamy pod poduszką i zostawiamy na noc. Rano wyciągamy pierwszą lepszą karteczkę – imię na niej zapisane będzie imieniem naszego przyszłego ukochanego lub przyjaciela na całe życie.

Andrzejki a pierniki

Dawniej od końca listopada, gdy nadchodziły katarzynki oraz andrzejki, rozpoczynano przygotowania do Świąt. W tym czasie zaczynało się piec pierniki. Wśród tych aromatycznych słodkości pierwsze miejsce zajmuje katarzynka, uznawana za pierwowzór dzisiejszego piernika.

„Przygotowywano ją zwłaszcza jako pieczywo świąteczne, wypiekane od 25 listopada, czyli od dnia św. Katarzyny, aż do Bożego Narodzenia. Forma katarzynki intryguje i do dziś nie wiadomo w

zasadzie nic o jej genezie. Legendy mówią o pannie Katarzynie, córce piernikarza, pełniącej w warsztacie zastępstwo za ciężko chorego ojca, która, nie mogąc znaleźć form piernikowych, wycięła charakterystyczny kształt z 6 połączonych ze sobą medalionów. Inna legenda opowiada o zakochanym w córce mistrza czeladniku, który wyciął z ciasta finezyjny wzór i nazwał go „katarzynką” – część pięknej córki mistrza” – czytamy na stronie muzeumpiernika.pl.

Dziś za najbardziej piernikowe miasto w Polsce uważa się Toruń, istnieje jednak pewna hipoteza, która mówi, że wcześniej tradycja wypiekania korzennych ciasteczek była popularna na Pomorzu, a dokładniej w dawnym Szczecinie. Przed wiekami głównym elementem bożonarodzeniowym w tym mieście były choinki przystrojone kolorowymi piernikami. Andrzejki zatem to iście polska tradycja pielęgnowana przez wieki. Na przestrzeni czasu miejsca, w których świętujemy, nasze stroje i to, co spożywamy, znacząco się zmieniły. Jednak zamysł pozostaje ten sam. Huczna zabawa oraz czas spędzony w gronie rodziny i przyjaciół tuż przed okresem Adwentu okazuje się być bezcenny.

Emilia SZKOBODZIŃSKA
emiszk1@st.amu.edu.pl



103. Rocznica
odzyskania
niepodległości
s. 2

Polecamy



Świadectwo
trudnego dzieciństwa
w książce „Shuggie
Bain”
s. 5



Grazie valentino
s. 7



Tenisowa samba
w kraju Tequili
s. 8

Od redakcji

Drodzy Czytelnicy!

Jesteśmy po prawie dwóch miesiącach nauki hybrydowej w tym roku. Ogromnie cieszymy się z powrotu na uczelnię i (prawie) normalnych warunków studiowania. Mamy nadzieję, że Wy też wykorzystujecie ten czas na prawdziwe studenckie życie, które, w okrojonej formie, lecz zawsze jakiegś, jest dla nas dostępne. Bardzo liczymy na to, że będziemy mogli kontynuować naukę w tym trybie aż do końca roku, ale zdajemy sobie sprawę z konsekwencji, jakie niesie ze sobą pandemia.

Zakończyliśmy właśnie rekrutację do Bardzo Uniwersyteckiego Czasopisma i już w grudniowym wydaniu będziecie mogli spodziewać się tekstów od nowych redaktorów. Wierzymy, że kolejni dziennikarze wprowadzą jeszcze lepszą atmosferę w nasze kręgi, a ich publikacje będą dla Was ciekawą lekturą. Witamy naszych nowicjuszy! Powoli zbliżamy się do upragnionego okresu świątecznego. Każdy z nas zaczyna już marzyć o wolnym czasie spędzonym w gronie bliskich, z pysznym jedzeniem, prezentami i niepowtarzalną atmosferą. Zanim jednak święta Bożego Narodzenia, czeka nas – studentów – intensywny miesiąc pracy i przygotowywania się do widniejącej na horyzoncie sesji egzaminacyjnej. Trzymamy kciuki za efekt nieprzespanych nocy spędzonych na nauce, ale przypominamy jednocześnie o konieczności znalezienia czasu dla siebie i należytego odpoczynku. Dbajcie o siebie. Życzymy Wam przyjemnej lektury i dużo zdrowia!

Redaktor naczelna
Wiktorja Wesolek



Tegoroczny Marsz Niepodległości przebiegł wyjątkowo spokojnie

11 listopada 2021 roku obchodziliśmy już 103. rocznicę odzyskania niepodległości. Jak co roku, w ramach świętowania Dnia Niepodległości odbyły się marsze w wielu miastach w Polsce, m.in. w Łodzi i Krakowie. Z czego największy i budzący najwięcej kontrowersji odbył się w naszej kochanej stolicy, czyli Warszawie. Przemarsz rozpoczął się jak zawsze na rondzie Dmowskiego i ruszył dalej przez Aleje Jerozolimskie, most Poniatowskiego i zakończył przy PGE Narodowym.

Marsz Niepodległości jaki obecnie znamy uzyskał swoją formę w 2010 roku. Wcześniej marsze były organizowane w poszczególnych miastach przez środowiska nacjonalistyczne. Po 2010 roku owe środowiska postanowiły stworzyć jeden główny marsz, który co roku odbywałby się w jednym miejscu i uczestniczyłoby w nim więcej osób. I tak oto narodził się Marsz Niepodległości, który znamy. Z czasem marsz zaczął przyciągać coraz więcej osób i zyskał złą sławę ze względu na liczne akty wandalizmu ze strony uczestników. Na szczęście w tym roku odbył się on niemal całkowicie bez żadnych większych skandali, a w przemarszu uczestniczyło około 150 tysięcy obywateli, w tym rodziny z dziećmi.

Problemy z organizacją

Początkowo Marsz Niepodległości z okazji 103. rocznicy odzyskania niepodległości miał się nie odbyć. W 2017 roku wydarzenie zostało zarejestrowane na 4 lata jako zgromadzenie cykliczne. Jednak według rzecznicy stołecznego ratusza Moniki Beuth-Lutyk, zgromadzenie nie odbywało się cyklicznie: „W ubiegłym roku nie odbyło się ostatnie z cyklicznych zgromadzeń organizowane przez Stowarzyszenie Marsz Niepodległości”. Sprawilo to, że kiedy wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł podpisał decyzję o rejestracji zgromadzenia cyklicznego „Marsz Niepodległości”, prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski odwołał się od tej decyzji i Sąd Okręgowy w Warszawie uchylił decyzję wojewody, przez co marsz został zakazany.

103. rocznica odzyskania niepodległości

Sprawa stała się na tyle ważna, że wojewoda i organizator Marszu Niepodległości złożyli zażalenia do Sądu Apelacyjnego. Jednak te zażalenia zostały oddalone przez Sąd Apelacyjny. Wszystko wskazywało na to, że tegoroczny Marsz Niepodległości się nie odbędzie, albo inaczej – marsz pewnie by się odbył, ale byłby nielegalny. Ale wtedy stało się coś, co można było w większym lub mniejszym stopniu przewidzieć. Mianowicie, do sprawy włączyła się prokuratura, rząd i Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. W ostateczności podjęto decyzję, że wydarzenie otrzyma charakter państwowy, przez co przemarsz będzie mógł odbyć się legalnie.

Bez dużych strat

Niestety Marsz Niepodległości nie zawsze był przeprowadzany w pokojowy i spokojny sposób. Zawsze dochodziło do starć z policją i niszczenia obiektów publicznych. Szczególnie w naszej pamięci zostanie zeszłoroczny marsz, podczas którego doszło do podpalenia jednego mieszkania i starć z policją pod Empikiem, które zostało okrzyknięte „bitwą pod Empikiem” i stało się motywem przewodnim wielu memów. Na szczęście tegoroczny Marsz Niepodległości odbył się stosunkowo spokojnie i w sposób pokojowy, zwłaszcza jeśli porównamy go z wcześniejszymi wydarzeniami. W tym roku doszło załadowanie, albo i aż, do spalania niemieckiej flagi oraz portretu Donalda Tuska. Oprócz tych dwóch skandalicznych zachowań marsz przebiegał kulturalnie. W uroczystości mogliśmy zobaczyć nie tylko osoby owinięte szalami, zakrywające twarze i w kominiarkach, uważane powszechnie za niebezpieczne (czyt. „narodowcy” lub „kibole”), ale także wiele rodzin z małymi dziećmi, które zdecydowały się do wspólnego świętowania jednego z najważniejszych dni Polski. Przekazując im od

najmłodszych lat ważne wartości jakim jest patriotyzm.

Nie tylko Marsz Niepodległości

W tym samym czasie w stolicy odbyło się wiele innych wydarzeń, ale jednym z ważniejszych, które był swego rodzaju kontrmanifestacją Marszu Niepodległości, był Marsz Antyfaszystowski. Nie cieszył się on takim zainteresowaniem jak Marsz Niepodległości, ale zgromadził duże grono uczestników. Osoby uczestniczące w Marszu Antyfaszystowskim również świętowały 103. rocznicę odzyskania niepodległości, ale zaznaczały, że nie utożsamiają się z Marszem Niepodległości, który ma charakter faszystowski. W przemarszu można było zauważyć flagi polski, antyfy, LGBT i coś nowego, czym były flagi zrobione z koców termicznych. Złoto-srebrne flagi stworzone z koców termicznych nawiązywały do sytuacji panującej na granicy polsko-białoruskiej oraz oznaczały wsparcie i zgodę na wpuszczenie migrantów do Polski.

Bitwa pod Empikiem

Kończąc ten artykuł humorystycznym akcentem należy pamiętać, że rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości, nie była jedyną rocznicą, która była obchodzona tego dnia. W czwartek 11 listopada obchodziliśmy również pierwszą rocznicę bitwy pod Empikiem. W zeszłym roku doszło do poważnych starć nacjonalistów z oddziałami policji, na skutek których mocno ucierpiał pobliski sklep Empik. Wydarzenie nie było w kraju prawdziwym hitem, które doczekało się wielu kreatywnych memów, a nawet zyskało swoje honorowe miejsce na stronie nonsensopedii – odpowiednika Wikipedii, która zajmuje się mniej poważnymi sprawami.

Karina KONYS
karkon14@st.amu.edu.pl



Redaktor miesiąca

Cześć! Nazywam się Hania Kufak, w BUC-u jestem od roku. Piszę do działu Informacja i Publicystyka. Bardzo lubię polską muzykę alternatywną oraz rockową.



Wydawca
Wydział nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelny
Wiktorja Wesolek
**Zastępca redaktora
naczelnego**
Krzysztof Polasik
Sekretarz redakcji
Aleksandra Kłosowska
Numer makietałowi
Wiktorja Wesolek,
Maria Lutkowska

Wydawca numeru
Wiktorja Wesolek
Redakcja merytoryczna:
Justyna Furmaniak,
Wiktor Pohorecki,
Krzysztof Polasik,
Sylwia Rycharska
PR i Social Media
Aleksandra Kłosowska,
Milena Mrozek,

Emilia Szkobodzińska,
Wiktorja Wesolek
Redakcja
Daria Bajorek
Anastazja Burnel
Adam Chęciński
Julia Czekalska
Justyna Furmaniak
Julia Gawłowska
Marta Godurkiewicz

Milena Guzik
Daryja Hurosh
Bartosz Kabaciński
Julia Kaczmarek
Wiktor Kępiński
Aleksandra Kłosowska
Karina Konys
Filip Kopera
Karolina Kozłowska
Hanna Kufak

Kamil Kwiatkowski
Kacper Lewandowski
Kuba Lipnicki
Maria Lutkowska
Natalia Łaszewska
Klaudia Michalak
Olga Michalska
Stanisław Mrowicki
Milena Mrozek
Marcin Ostrowski

Wiktor Pohorecki
Krzysztof Polasik
Florentyna Rybczyńska
Olga Rydzewska
Wiktorja Różak
Michał Rzeźnik
Karolina Sieradzan
Ilona Skrzypczak
Emilia Szkobodzińska
Karina Szymczak

Izabela Tomaszewska
Kacper Tyczewski
Wiktorja Wesolek
Eryk Więsyk

Fotoedytor
Martyna Woźniak
Autor logo
Andrzej Szymczak
Opieka nad redakcją
Red. Lesław Ciesiołka
Skład komputerowy
Tomasz Szukała

„Przygotowanie stroju to jedno – ludzie mają uwierzyć, że my tą postacią jesteśmy”

– rozmowa z Aleksandrą Słomian

Cosplay to wcielanie się w postać fikcyjną i wiąże się z czasochłonnym przygotowaniem stroju. Termin powstał w Japonii, ale jako hobby szeroko rozwinął się też w Europie i Ameryce. Na poziomie najbardziej lokalnym cosplayerów z całej Polski (a czasem i spoza niej) możemy spotkać na corocznym festiwalu Pyrkon, odbywającym się na Międzynarodowych Targach Poznańskich. O tej artystycznej pasji rozmawiałam z Aleksandrą Słomian, cosplayerką, prowadzącą wraz z Szymonem Nowaczykiem fanpage Jophiel & Shariel. Zainteresowanych zachęcam do odwiedzenia ich profilu na Facebooku i Instagramie, gdzie znajdziecie dużo więcej fantastycznych zdjęć!

Maria Lutkowska: Masz oryginalną pasję, która stanowi obecnie dużą część twojego życia. Od czego zaczęło się twoje zainteresowanie cosplayem? Czy jest coś, co szczególnie cię do tego zainspirowało?

Aleksandra Słomian (Jophiel): Zaczęło się właściwie już pod koniec podstawówki, od fascynacji środowiskiem japońskim. Odkryłam wtedy w internecie cosplayerów, którzy przebierali się za moje ulubione postacie z kreskówek. Jakiś czas później, w ramach realizacji projektu gimnazjalnego, moja grupa zamierzała zrobić przedstawienie teatralne, a ja chciałam uszyć stroje. Tak się zaangażowałam w to planowanie, że, nawet kiedy wizja projektu ostatecznie się zmieniła, to pomysł z szyciem wciąż tkwił w mojej głowie. Zaczęło się więc od kostiumów teatralnych, natomiast moim pierwszym cosplayem była Ahri – lisica z League of Legends, inspirowana japońską mitologią. LoL był też pierwszą grą, w którą się zaangażowałam, chociaż szło mi trochę opornie. Ahri jednak od razu skojarzyłam z Kitsune, demonem z japońskiego folkloru i do dzisiaj jest ona moją ulubioną postacią. Co do samego cosplayu, to nie był to najlepiej wykonany strój – gdy dziś na niego patrzę, to raczej już bym się nim nie chwaliła – ale sentyment pozostał.

Jak można zobaczyć na twoim profilu, częścią kostiumu Ahri, o którym mówisz, było 9 ogromnych, puchatych ogonów! Był to też pierwszy cosplay, który uszyłaś całkowicie sama. Skąd wtedy wzięłaś materiały – i skąd bierzesz je teraz? Ile trwa cały proces tworzenia?

Pamiętam, że początkowo nigdzie w internecie ani w hurtowniach nie mogłam znaleźć materiału z odpowiednim wzorem. Ostatecznie idealna okazała się... stara, już zniszczona i pościęta sukienka. A jednak udało się z niej stworzyć coś nowego. Z kolei ogony powstały z drutu i całej masy sztucznego futerka, a przymocowane były do deseczki na moich plecach. Samo szycie trwało około trzech tygodni, ale teraz idzie mi to już trochę szybciej, bo robiąc cosplay mieszczę się w tygodniu – dwóch. Trzeba też zaznaczyć, że moje stroje opierają się głównie na szyciu. Nie są to skomplikowane, pełne zbroje, dlatego nie pracuję raczej z drewnem czy metalem. Korzystam natomiast z pianki, która jest



Pierwszy cosplay - Ahri z League of Legends

bardzo przydatna przy mniejszych elementach oraz ze styroduru – jest to coś w rodzaju ściśle upakowanego styropianu, który przez swoją wytrzymałość nadaje się do robienia wszelkich większych broni.

A jaka była najdziwniejsza rzecz, którą wykorzystywałeś do stworzenia cosplayu? Albo największa trudność, z jaką się zetknęłaś? Przypuszczam, że kwestie takie jak soczewki i peruki nie stanowią już dla Ciebie żadnego problemu?

Raz zebrałam całe mnóstwo przezroczystych nakładek z wieczek od serków, żeby wykorzystać je przy tworzeniu karabinu snajperskiego z mnóstwem małych celowników. Wypełniałam je właśnie wspomnianymi wieczkami, które miały imitować szkło (a nadawały się znakomicie, bo były idealnie wyprofilowane w kształt koła). Kiedyś użyłam też starych rur od pralki do zrobienia stroju w stylu postapokaliptycznym.

Jeśli chodzi o soczewki czy peruki, to oczywiście była to kwestia przyzwyczajenia. Wbrew pozorom, teraz kiedy już długo obracam się w tym środowisku, najtrudniejsze jest znalezienie

granicy między tym, co robię dla przyjemności, a tym, co robię komercyjnie. Na przykład, często firmy wystawiające się na konwentach, w ramach swojej kampanii wizerunkowej, płacą cosplayerom za to, żeby swoją obecnością promowali ich stoisko. Druga sprawa, że aby współcześnie zarabiać na cosplayu, trzeba mieć zasięgi, a ich nie zdobędzie się bez ślęczenia nad mediami społecznościowymi. Takie rozplanowywanie i pisanie postów zajmuje mi mnóstwo czasu – to jest ta mniej przyjemna część. Czasami myślę, że wolałabym skupić się tylko na samym szyciu.

Czy brałaś kiedyś udział w konkursie cosplayowym? Jeżeli tak, jak wspominasz to wydarzenie?

Tak, jakieś trzy lata temu brałam udział w konkursie grupowym. Planów miałam więcej, ale pandemia mi je pokrzyżowała. Warto tutaj nadmienić trzy najważniejsze rzeczy, które są oceniane na takich konkursach. Są to: estetyka i jakość wykonania stroju, zgodność ze zdjęciem referencyjnym naszej postaci i scenka. Właśnie ta ostatnia jest zmartwieniem wszystkich cosplayerów. Często cały rok pracują oni nad strojem, a scen-

kę wymyślają dosłownie dzień przed występem. Chodzi tutaj o wcielenie się w postać, odegranie jej charakteru, a nawet tonu głosu. Przygotowanie stroju to jedno – ludzie mają uwierzyć, że my tą postacią jesteśmy. Na wspomnianym konkursie zatańczyłyśmy układ do k-popowej piosenki wydanej przez League of Legends. Ja bawiłam się bardzo dobrze, nie wiem jak reszta moich znajomych (śmiejch).

Ostatnimi czasy jesteś zaangażowana w wydarzenia organizowane przez Pyrkon (Poznański Festiwal Fantastyki) i to już nie tylko w charakterze uczestnika, lecz także współorganizatora warsztatów. Czy możesz opowiedzieć o tym coś więcej?

Wszystko zaczęło się od zeszłorocznego lockdownu. Zmęczeni siedzeniem w domu, skrzyknęliśmy grupę znajomych związanych z cosplayem i wówczas narodził się pomysł stworzenia tzw. Wioski League of Legends. Stopniowo powstawał szereg dekoracji związanych z grą – od figury smoka do arsenału broni. Pierwszy raz wystawialiśmy się na małym poznańskim konwencie o nazwie Hikari. Mimo że nie zorganizowaliśmy jeszcze wtedy tak wielu atrakcji, zainteresowanie było bardzo duże – właściwie nie mogliśmy sobie pozwolić na ułożenie grafiku zmian. Inicjatywa tak się rozrosła, że udało nam się nawiązać współpracę z Pyrkonem. Na Pyrkonowym Targu Letnim, bogatsi o doświadczenia zdobyte wcześniej na Hikari i poznawszy swoje ograniczenia, mieliśmy już więcej ludzi i lepiej ułożony grafik.

A co z warsztatami cosplayowych uszek? Widziałam, że znalazły się one w programie waszego „Project: League” obok konkursów i wystawy broni.

Tak, one również są dla mnie lekcją na przyszłość, bo niestety zainteresowanych warsztatami było bardzo dużo, a kleju termicznego i nożyczek zdecydowanie za mało. Okazało się też, że ludzie, którzy pierwszy raz siadali do takiego zadania, niekoniecznie dobrze sobie z nim radzili i potrzebowali dużo pomocy, przez co warsztaty zajęły więcej czasu, niż przewidywałam. Cieszę się jednak, że samym uczestnikom się podobało, bo rzeczywiście potem te uszy nosili! Widzę też, że każde takie doświadczenie mnie ubogacało i z konwentu na konwent obserwuję duży postęp. Niedawno odbyło się PGA i tam również można nas było znaleźć.

Jakich rad udzieliłabyś osobom, które chciałyby spróbować swoich sił z cosplayem?

Myślę, że najważniejsze, to żeby się nie poddawać i nie słuchać głupich komentarzy ludzi w internecie. Sama pamiętam, jak strasznie się przejmowałam, gdy ktoś napisał mi jakiś niemiły komentarz. Wiadomo, że trzeba rozróżniać hejt od konstruktywnej krytyki, a młodym osobom czasem trudno tę granicę znaleźć. Najlepiej jest analizować, rady brać sobie do serca, poprawiać, co się da, ale przede wszystkim – dalej pracować. Współcześnie w internecie takie komentarze rozprzestrzeniły się jak plaga. Czasem trzeba mieć po prostu twardą skórę.

Bardzo dziękuję za rozmowę!

Maria LUTKOWSKA
marlut1@st.amu.edu.pl



Spirit Blossom Ahri i Yone z League of Legends

https://www.lashmusic.com/news/biffy-clyro-announce-surprise-project-the-myth-of-the-happily-ever-after



Okładka albumu sama w sobie jest dziełem sztuki

Najlepsze efekty otrzymujemy często w najmniej spodziewanych momentach. Muzycy Biffy Clyro mogą spokojnie zgodzić się z tym stwierdzeniem. Dla nie-uważnych „The Myth Of The Happily Ever After” może wydawać się kalką i odrzutami z poprzedniego wydawnictwa oraz płytą, która zalicza najgorszą premierę zespołu od lat. Wewnątrz jednak kryje się album, który może okazać się jednym z najlepszych w dyskografii Szkotów, ujmujący słuchacza od bogatego początku aż do niebanalnego końca.

Pozory mylą

Od momentu, gdy Biffy Clyro stali się znaczącym zespołem na rockowej scenie, nie zdarzyła się jeszcze sytuacja, by zespół wydał dwa pełnoprawne albumy w odstępie krótszym niż 2,5 roku. Tymczasem minął lekko ponad rok, a fani mogą ekscytować się następcą „A Celebration Of Endings”. Na pierwszy rzut oka w porównaniu z udanym poprzednikiem zmienia się faktycznie niewiele. Podobna szata okładki i ogólny styl muzyczny składają się na niemal siostrzany album, czego nie kryli zresztą sami muzycy. Powstawała w

Doskonałość rodzi się w ciszy

Recenzja płyty „The Myth Of The Happily Ever After” Biffy Clyro

tajemnicy, w domowym studio muzyków, choć na płycie znalazło się miejsce dla kilku utworów, które nie zmieściły się na poprzednim krążku.

Trudno ukryć, że w pierwszej chwili brzmi to podejrzanie. Ale nie dajcie się zwieść, bo „The Myth Of The Happily Ever After” to samodzielny album z krwi i kości. Pełen magicznych momentów, unikatowych kompozycji i jednocześnie niezwykle spójny. Nie uświadczycie tu nudy, która przytrafiła się niekiedy na wcześniejszych płytach Szkotów, bo nie ma dla niej zwyczajnie miejsca. Każdy utwór to z jednej strony odmienna przygoda, a przy tym paradoksalnie idealnie wpisujący się w całość element układanki.

W różnorodności siła

Już otwierające „DumDum” jest doskonałą odpowiedzią tego, co czeka nas przez ponad 50 minut słuchania. Niezwykle bogaty dźwięk, stopniowe przejście od cichej ballady do potężnej i energicznej ściany muzyki, w której głównymi cegiełkami są wyrazista gitara i mocne bębny. Introdukcja, która nie tylko wprowadza i nadaje ton albumowi, bo na koniec okazuje się, że jest to „The Myth Of The Happily Ever After” w pigułce.

Album bowiem nie boi się kontrastów i mówi tu szczególnie o różnicach w obrębie pojedynczych utworów. Najlepszymi przykładami są „Haru Ura-ra” oraz „Holy Water”. Oba są przez pewien czas wolnymi balladami, by pod koniec nabrać pełnego rock’ n’ rollowego rozpędu. Nie jest to jednak prosty przeskok od spokojnych klimatów do szaleńczego tempa, a bardziej urozmaicony rozwój, który czyni te kompozycje znacznie bardziej złożonymi.

Najbardziej zróżnicowanym utworem pozostaje natomiast „Unknown Male 01”. Mieszanka organów w na swój sposób bajkowym początku, z lekką gitarą przeradzającą się w dużo cięższe brzmienie zahaczające o metal oraz następnie znowu w pojedyncze i melodyjne wstawki gitarowe sprawia, że z tego utworu można byłoby spokojnie wyczarować trzy osobne kompozycje. I choć

takie bogactwo może przynieść niekiedy więcej szkody niż pożytku, to tutaj zaimplementowano wszystkie pomysły w sposób absolutnie genialny.

Stadionowe hymny w starym stylu

Nie oznacza to jednak, że Szkoci unikają bardziej bezpośrednich rozwiązań. Do takich można bez wątpienia zaliczyć koncertowe pewniaki, czyli „Hunger In Your Haunt”, „Errors In The History Of God” czy „Witch’s Cup”. Energia bijąca od tych piosenek jest trudna do przecenienia i posłuzzy zespołowi do rozruszania każdego występu. Szczególnie dwa pierwsze z powyższych są przestrzenią do szaleństw Simona Neila, który wokalnie i gitarowo może zademonstrować swój niemały talent. „Witch’s Cup” natomiast jest o tyle ciekawym utworem, że przy swojej dużej energiczności (która nie boi się jednak chwili spokoju) nie brakuje w nim miejsca na eksperymenty - trąbki, trójkąty czy cymbalki wplecione pomiędzy poszczególne sekcje są tutaj interesującą odskocznią.

Mało jednak na „The Myth Of The Happily Ever After” czegoś zupełnie oryginalnego. Bo choć wszystkie kompozycje są przemyślane i niektóre pomysły pozytywnie zaskakują, to trio nie przeprowadza żadnej rewolucji. Wręcz przeciwnie, opiera się na sprawdzonych metodach i nie unika inspiracji, jak chociażby wyraźnie podobne klimaty do „The Cure” w opartym na syntezatorach „Separate Missions”, a zamykające „Slurpy Slurpy Sleep” ma w sobie trochę z brzmienia i majestatyczności „Muse”. Czy jednak warto na to narzekać, skoro funkcjonuje to tak dobrze?

Słodko-gorzki posmak

Niebanalnie jest też w warstwie lirycznej. Tematyką przewodnią całego krążka jest odnajdywanie sensu w trudach każdego dnia i może nie brzmi to specjalnie odkrywczo, ale podane jest w zdecydowanie godny sposób. Przeplatają się tutaj wątki poszukiwania motywacji w ogólnej beznadziei („Hunger In Your Haunt”), bliskości i

nagłego rozstania („Separate Missions”) czy wręcz mizantropii i nihilizmu („Errors In The History Of God”). Album nie wpada przy tym w pułapkę egzageracji, między innymi dlatego, że trudne tematy łączą się z muzyką, której zdecydowanie nie nazwiemy depresyjną. Do tego ogólny wydźwięk tekstów przepelnięty jest nadzieją, co nadaje płycie mocno słodko-gorzkiego charakteru, zachowując odpowiedni balans.

Wydaje mi się przy tym, że od tego albumu aż bije zgranie w zespole. Czuję dobrą atmosferę i to, że nic nie było tutaj na siłę. Nie ma wymuszonych utworów czy udużnień, które zupełnie nie przystawałyby do reszty kompozycji. Chemia pomiędzy członkami to jedno, natomiast nie można zapomnieć o produkcji, za którą odpowiada Adam Noble, najbardziej znany z pracy dla Placebo oraz Nothing But Thieves. Każdy akord gitary i każde uderzenie perkusji brzmi tutaj wyraziście i warto pochwalić również za to.

Ścieżka do podążania

„The Myth Of The Happily Ever After” można uznać więc za muzyczny sukces zespołu. Niestety nie poszedł za tym sukces komercyjny, a szkoda, bo jest to album będący jednym z ważniejszych w karierze zespołu. I choć zupełnie niespodziewany, to w pełni zasługujący na uwagę. Nie tylko nie pozostaje w cieniu bardzo dobrego ubiegłorocznego „A Celebration Of Endings”, ale przyćmiewa go swoim rozbudowaniem i niebanalnością, pozostając przy tym w stylu typowym dla Biffy Clyro w najwyższej możliwej formie. Oby Szkoci nie zniechęcili się do stawiania na tak ciekawe rozwiązania, ponieważ współczesny rock potrzebuje takich albumów - niekoniecznie próbujących wynaleźć koło na nowo, ale będących czystą przyjemnością dla słuchacza i oferującym kompozycje, które pozostają w głowie na długi czas.

Ocena: 9,5/10

Wiktor KĘPIŃSKI
wikkep@st.amu.edu.pl

Wakacyjny rollercoaster



Hit sezonu- wyspa Korfu w Grecji

Pewnie wielu z was cierpi na jesienną chandrę. Spoglądając za okno widzimy szarość. Spragnieni jesteście promieni słonecznych. Siedząc w zamkniętym pomieszczeniu, czytając książkę i popijając ciepłą herbatę zaczynamy wspominać przepiękne słońcem, ciepłem i radością dni. Ostatnie dni wakacji. Pandemia również tego nie ułatwia. Rok 2020 był wyjątkowo trudny. Zmienił wszystko. Byliśmy odizolowani i nie mieliśmy zbyt wielu możliwości wyjazdowych. W tym roku było nieco łatwiej, ale i tak obostrzenia covidowe wstrzymywały planowanie wypoczynku. Statystyki turystyczne uległy zmianie. W tym artykule przyjrzymy się tym zmianom.

Wakacyjni królowie

Do najpopularniejszych kierunków wyjazdowych Polaków należały kolejno Grecja, Turcja, Bułgaria, Egipt, Hiszpania, Polska, Tunezja, Cypr, Albania i Chorwacja. Grecja jest zwycięzcą chyba każdego rankingu. Portal wakacje.pl podaje, że aż 40% klientów wybrało ten kierunek. Nie jest to żadna nowość, zważając na to, że Grecja od lat króluje w wyborach wyjazdowych Polaków. Co ciekawe w TOP 5 najchętniej wybieranych kierunków była Turcja i Polska.

Biura podróży dostosowywały się do obecnie panujących warunków. Pojawiło się wiele ofert krajowych w związku z sytuacją epidemiologiczną i ograniczeniami w przemieszczaniu się. Biuro podróży Rainbow wprowadziło ofertę „Odkryj Polskę na nowo”. Najatrakcyjniejsze ceny wycieczek miało TUI Poland. Korzystnym wyborem okazał się również Coral Travel. Pożądanymi kierunkami są kierunki egzotyczne.

Do listy kierunków wyjazdowych Polaków ponownie dołączyły Turcja, Tunezja i Egipt. Jednocześnie zmniejszyło się zainteresowanie Chorwacją czy Włochami często odwiedzanymi przez Polaków. Może być to związane z próbą zachęcenia turystów do odwiedzenia tych rejonów poprzez atrakcyjne oferty i obniżenie cen. To sprawiło zmianę wyboru hoteli i opcji żywienia. Większość osób wybierała nocleg w hotelach cztero lub pięciogwiazdkowych. Ponadto Polacy byli zwolennikami opcji all inclusive w kwestii żywienia.

Nasze wybory

Widać związek pomiędzy tym jakie kierunki są popularne, a restrykcjami i obostrzeniami w poszczególnych państwach. Turystom zależało na tym, żeby najlepiej móc wyjechać bez konieczności wykonywania testu PCR oraz odbywania kwarantanny po przyjeździe i powrocie. Ludzie jechali tam, gdzie było można. Wielu też wstrzymywało się z wyjazdem licząc na to, że obostrzenia będą znoszone, ale też w obawie o własne zdrowie. W związku z tym Polska stała się jednym z najbardziej atrakcyjnych kierunków wakacyjnych dla Polaków. Głównie obszary północy i południa Polski, czyli morze i góry. Jeżeli chodzi o podróż z zagranicą to w te wakacje najczęstszym środkiem transportu był transport lotniczy. W sierpniu na taką formę podróżowania zdecydowało się aż 94% urlopowiczów. Ceny ofert wycieczek nie były tak atrakcyjne jak w roku 2020, kiedy to na rynku była ich nadpodaż. Największe obniżenie cen notowano u biur Coral Travel i Rainbow - nawet o 130 złotych. Średnia cena wycieczek wzrosła. Najbardziej w wypadku Portugalii - o 269 złotych, również na Lanzarote i Krete. Za wypoczynek więcej płać pary - o 364 zł niż rodziny z dziećmi.

Jak widać, mimo obaw, wiele osób wybrało podróż za granicę. Wielu udało się to dzięki ofertom wyjazdów do krajów, które nie miały zbyt wielu obostrzeń, a innym poprzez wyrobienie paszportów covidowych. Podróżowanie nie jest już takie jak kiedyś, ale w popularnych miejscach można było spotkać wielu turystów.

Klaudia MICHALAK
klamic11@st.amu.edu.pl

Świadectwo trudnego dzieciństwa w książce „Shuggie Bain”

Sięganie po doceniane lektury może skutkować podejściem do nich z nazbyt wygórowanymi oczekiwaniami. Nie ma się co dziwić – jakiegokolwiek wyróżnienie zobowiązuje do tego, aby spodziewać się po niej wszystkiego, co najlepsze.

W 2020 roku książka „Shuggie Bain”, autorstwa Douglasa Stuarta, została uhonorowana Nagrodą Bookera. Jeszcze w trakcie zapoznawania się z tym tytułem wiedziałam, że słusznie została ona przyznana. Choć od momentu, w którym zaznajamiałam się z historią bohaterów, minęło trochę czasu, nie jestem w stanie wyprzeć ich losów z mojej pamięci.

Człowiek kontra szara rzeczywistość

Robotnicze Glasgow. Smutna, przesiąknięta zepsuciem i brudem, rzeczywistość. Rodzinne kłopoty. Matka alkoholiczka. Walka z uzależnieniem. Życie w biedzie i samotności. Nadzieje na pokonanie nałogu. To tylko część problemów, których można doszukać się w książce Stuarta. Sięgając po nią, czytelnik musi mieć świadomość, że niełatwo będzie mierzyć się z tym, co zdoła z niej wyczytać, ale jedno jest pewne – to, czego dowie się z lektury, nie pozostawi go obojętnym i niewzruszonym na poszczególne kwestie.

Przede wszystkim jest to zasługa osadzenia akcji w rozległych ramach czasowych, aby móc szerzej zapoznać się z życiem tytułowego bohatera Shuggiego oraz jego rodziny. Poznajemy go jako niewinnego chłopca, który wraz z rozwojem wydarzeń staje się coraz bardziej odpowiedzialny za losy swoje i swoich bliskich. To ten typ młodej, lecz dojrzałej emocjonalnie osoby, której przyszło zbyt wcześnie zmierzyć się z problemami dorosłych. Z każdym rozdziałem nabiera on coraz większego przekonania co do obecnej w domu patologii, a przy tym pogłębia się jego poczucie bezsilności i niesprawiedliwości, których podłoża należy szukać przede wszystkim w chorobie alkoholowej matki.

Już od pierwszych stron widać więc, że codzienność Shuggiego jawi się w ponurych barwach. Sam klimat powieści, choć dobrze koresponduje z wagą opisywanych przeżyć i trudnych sytuacji, może przytłaczać, a w skrajnych przypadkach nawet zmęczyć. Czy



Ile młody człowiek może znieść, w imię miłości?

to źle? Ja tak nie uważam – to, o czym czytamy, ma być bolesne, niewygodne, nieprzyjemne i przerażające, aby nadać historii realne odzwierciedlenie wielu aktualnych problemów dzisiejszego świata.

Mechanizm uzależnienia

Ciekawie wykreowani bohaterowie tworzą spójną, wielopłaszczyznową opowieść o traumach, które czynią ludzi takimi, jakimi są, a którzy w życiu codziennym zmagają się z różnymi słabościami, zatracają się we własnych obawach i gubią w niepoprawnych wartościach. Czasami trudno określić, kto tak naprawdę jest głównym bohaterem powieści. Z jednej strony uwaga czytelnika skupiona jest na życiowych perypetiach młodego chłopaka, a z drugiej można zauważyć, że kluczowe dla rozwoju akcji staje się ukazanie, postępującej w toku powieści, choroby alkoholowej jego matki. To również istota skrzywdzona przez los, niepotrafiąca sprostać obowiązkom i rołom, które wiążą się z wychowaniem dzieci i wchodzeniem w poważniejsze relacje z mężczyznami.

Wszystko to oddziałuje na życie całej rodziny i sprawia, że Shuggie rozpoczyna bezcelową walkę z nałogiem, który na jego oczach wyniszcza najbliższą mu osobę. Sam bohater staje się niejako sym-

bolem prawdziwej wiary w coś, czego nie jest w stanie pokonać. Autor w dotkliwy sposób pokazuje więc, ile człowiek potrafi wybaczyć i wycierpieć, w imię prawdziwej miłości.

Oprócz tego Stuart zahacza o ważną kwestię, jaką jest starcie młodej osoby z konsekwencjami działań podejmowanych przez dorosłych oraz błędami i decyzjami, które nieodwracalnie zmieniają światopogląd i rujną wszelkie uroki dzieciństwa. Można stwierdzić, że to najprostszą drogą, do ukazania bolesnego stadium relacji matka-syn i wypuklenie ciemnych stron rodzicielstwa. Być może właśnie ze względu na pokazanie szarych odcieni życia zwyczajnych ludzi, książka ta wydaje się tak autentyczna i wstrząsająca, a zarazem niezwykle przykra.

Bezskuteczne próby ratunku

„Shuggie Bain” zarówno w trakcie, jak i po przeczytaniu pozostawia spore pole do refleksji. Intrygujący, acz przejmujący rys psychologiczny bohaterów, w połączeniu ze specyficznym klimatem powieści i zepsuciem, jakim ona przesiąka, sprawiają, że nie jest łatwo czytać tę pozycję. Doceniam zwłaszcza sposób, w jaki ukazano mechanizm kształtowania ludzkiej osobowości od młodości, który podyktowany jest tym, w jakim domu jest się wychowywanym.

Książka doskonale obrazuje, że nie na wszystko w swoim życiu można mieć wpływ, mimo heroicznej walki o niewłaściwe ideały czy pokładania złudnych nadziei, celem udzielenia bezinteresownej pomocy innym. Pokazuje, że nawet największe starania nie pozwolą na odwrócenie biegu pewnych spraw, których finał jest z góry przesądzony. Daje do zrozumienia, że najszybsze próby niesienia ratunku nie uchronią drugiego człowieka przed jego upadkiem bądź osobistą tragedią i nawet najsilniejsza miłość ma swoje granice zrozumienia. Uświadamia, że nie da zwalczyć się nałogu wtedy, gdy osoba nim dotknięta, tak naprawdę nie chce z niego wyjść.

Ta lektura w dość dosadny i okrutny sposób dokonuje także rozliczenia z wszelkimi następstwami przebywania i mieszkania w specyficznym i szkodliwym środowisku, przestrzegając niejako przed toksycznym wpływem ludzi, na których można natknąć się na swojej drodze. Z pewnością nie jest to lektura dla każdego, ale można pokusić się o stwierdzenie, że w jakimś fragmencie pozwala na odnalezienie części samego siebie bądź wniknięcie w sytuację Shuggiego na tyle, by współodczuwać z nim wszelkie smutki, trudności życia i niewypowiedziane zale.

Marta GODURKIEWICZ
margod5@st.amu.edu.pl

„Znamy się tylko z widzenia”, czyli słów kilka o Zamku Cesarskim w Poznaniu

Wielu z nas mija go codziennie w drodze na uczelnię bądź do pracy. Potężny budynek przy ulicy Święty Marcin z masywną wieżą zamkową. Jaka jest historia jednego z najmłodszych zamków w Europie?

Obecnie w zamku ma swą siedzibę Centrum Kultury Zamek, Teatr Animacji oraz Muzeum Powstania Poznańskiego Czerwiec 1956. Jednak dla czego nazywany jest cesarskim i jakie funkcje pełnił w przeszłości? Jest to najważniejsza budowla Dzielnicy Cesarskiej, która powstała dla ostatniego cesarza niemieckiego i króla Prus Wilhelma II.

Umiejscowienie i początki budowy

Umiejscowienie budowli nie jest przypadkowe. Nowa siedziba miała raz na zawsze potwierdzić przynależność Wielkopolski do Rzeszy. Wszystko zaczęło się na początku XX wieku, kiedy podjęto decyzję o budowie rezydencji cesarskiej w Poznaniu. Po wniesieniu twierdzy postanowiono przekształcić Poznań w miasto-rezydencję. Pierwsze projekty Franza Schwechthena pochodzą z roku 1904 i od razu określają budowlę jako monument o formach neoromańskich. Budowę rozpoczęto zaledwie rok później, mimo że pierwsze prace terenowe miały miejsce właśnie w 1904 roku. Już pięć lat po tym architekt osobiście wręczył klucze cesarzowi 21 sierpnia 1910 roku podczas jego wizyty w Poznaniu.

Historia zamku na przestrzeni lat

Podczas Powstania Wielkopolskiego w piwnicach zamkowych znajdowały się kuchnie z po-



Zamek Cesarski w Poznaniu

tężnymi piecami, gdzie przygotowywano posiłki dla powstańców. Gdy po I wojnie światowej Polska odzyskała niepodległość, zamek stał się siedzibą Uniwersytetu Poznańskiego oraz rezydencją polskich prezydentów w czasie ich pobytu w Poznaniu. W Zamku działał wówczas m.in. Wydział Matematyczny Uniwersytetu Poznańskiego, którego absolwenci złamali w latach 30-tych XX wieku kod niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma. W roku 1939, niemal natychmiast po rozpoczęciu działań wojennych, zdecydowano o przebudowie dawnej rezydencji

cesarskiej na siedzibę Adolfa Hitlera. Wszystkie najważniejsze pomieszczenia urządzono w totalitarnym stylu architektury III Rzeszy. W miejscu dawnej kaplicy powstał osobisty gabinet Hitlera. Gabinet był urządzone identycznie jak jego odpowiednik w Kancelarii Rzeszy w Berlinie, jego wystrój został niezmiennym do dziś i często pełni rolę dekoracji filmowej. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, że Hitler kiedykolwiek był w Poznaniu.

Po kapitulacji Cytadeli 23 lutego 1945 roku w Zamku powstał obóz przejściowy dla jeńców nie-

mieckich, a następnie w kompleksie mieściły się koszary Ludowego Wojska Polskiego. Zamek został zniszczony, myślano nawet o jego rozbiórce. Rozważano zburzenie budowli kojarzącej się z okresem zaborów i niemieckiej okupacji. Ostatecznie jednak, głównie ze względu na szczupłość środków finansowych, ograniczono się do usunięcia większości symboli nazistowskich i rozebrania uszkodzonej najwyższej kondygnacji wieży zegarowej.

Zamek obecnie

W 1962 roku Zamek przemianowany został na Nowy Ratusz i stał się siedzibą Miejskiej Rady Narodowej, a następnie Pałacu Kultury. W 1979 roku Zamek Cesarski został wpisany do rejestru zabytków jako dobro kultury. Obecnym gospodarzem i administratorem budowli jest Centrum Kultury „Zamek”. W sali tronowej mieści się kino pałacowe, w niektórych apartamentach funkcjonują galerie sztuki, Teatr Animacji, w piwnicach i podziemiach znajdują się puby, kluby muzyczne i restauracje. Na dziedzińcu wewnętrznym w sezonie letnim często odbywają się koncerty i projekcje filmowe. Jak podaje portal Poznań travel, nowoczesną część obiektu można zwiedzać bezpłatnie, codziennie od 10:00 do 21:00. Sale historyczne w zachodnim skrzydle można zwiedzać indywidualnie, po zakupie biletu w cenie 5 złotych. Istnieje możliwość wypożyczenia audio przewodnika, koszt biletu wzrasta wtedy do 20 zł. Dzieci do 5 lat wchodzi bezpłatnie. Zwiedzanie odbywa się od 11:00 do 19:00.

Karina Szymczak
Karszy24@st.amu.edu.pl

20 lat temu cichy Beatles zamilkł na wieki

Mówiąc o The Beatles większość z nas będzie się wyklócać, czy John Lennon czy też Paul McCartney był ważniejszy dla historii zespołu. Jednak dużą rolę odegrał także George Harrison, którego 20. rocznica śmierci wypadła pod koniec listopada.

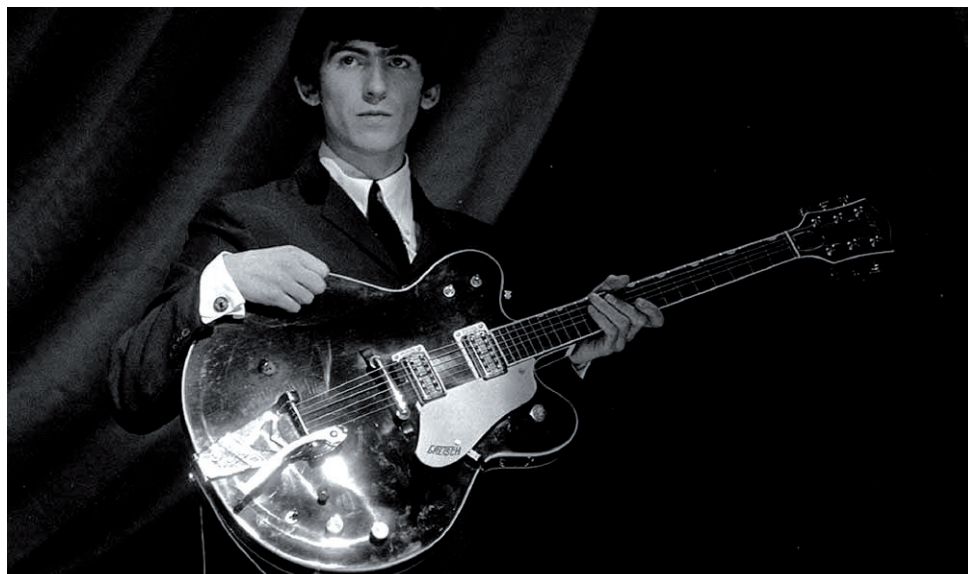
Skromne początki w Liverpoolu

George Harrison urodził się 25 lutego 1943 roku w Liverpoolu. Był najmłodszym z pięciorga dzieci państwa Harrisonów. W dzieciństwie George był bardzo niezależny oraz osiągał dobre wyniki w nauce. Już wtedy zaczęły ujawniać się jego związki z The Beatles, mimo iż Harrison nie zdawał sobie jeszcze z nich sprawy – chodził do tej samej szkoły podstawowej, co John Lennon, jednak ze względu na 2 lata różnicy byli w różnych klasach i nie zaprzyjaźnili się wówczas ze sobą. W 1954 roku George trafił do Liverpool Institute, poznał tam przyszłego kolegę z zespołu – Paula McCartney'ego. Podczas nauki w tej szkole George zainteresował się muzyką oraz rozpoczął samodzielną naukę gry na gitarze. Początkowo jednak nauka gry nie szła za dobrze przyszłemu Beatlesowi, jednak mógł on liczyć na matkę, która wspierała go zarówno słowem, jak i swoją obecnością. Początkowo George nie grał jako członek zespołu, jednak w 1958 roku otrzymał zaproszenie od Paula do zespołu The Quarrymen, w którym grał też John Lennon. Ostatecznie członkowie tria Lennon-McCartney-Harrison stali się jedynymi stałymi członkami zespołu i wkrótce przyjęli nazwę The Beatles. Pod tą nazwą wyruszyli na początku lat 60. do Hamburga, gdzie zaczęli zdobywać pierwsze sceniczne szlify.

Długo wyczekiwana sława

Lata 1960–1962 spędzone w Hamburgu były okresem wykuwania się stylu i brzmienia Beatlesów. George w tym czasie przyjął rolę gitarzysty prowadzącego i szybko uczył się tworzenia solówek. Podczas pobytu w Niemczech Beatlesi ciężko pracowali i wolne chwile spędzali na wybrykach. Jednak, gdy jeden z wybryków zabrnął za daleko, niemiecki urząd ds. imigracji postanowił sprawdzić członków zespołu i wówczas okazało się, że George nie był jeszcze pełnoletni. Przełożyło się to na deportację Harrisona do Anglii, do którego solidarnie dołączyli pozostali członkowie zespołu.

Ostatecznie, po wielu trudach The Beatles w końcu doczekali się wielkiej kariery. W 1963 roku ukazały się ich dwie pierwsze płyty. Na pierwszej z nich (Please, Please Me) George zadebiutował



George Harrison podczas prób przed koncertem The Beatles w 1963r.

jako wokalista w piosence „Do You Want To Know A Secret?”, na drugiej zaś (With The Beatles) pojawiła się pierwsza autorska kompozycja George'a, zatytułowana „Don't Bother Me”. Piosenka ta była również wyrażeniem niechętnego stosunku Harrisona do sławy. Wówczas wykształciła się też latka „cichego” Beatlesa, który skupiał się po prostu na muzyce i ignorował namolne fanki. W latach 1964-65 George pozostał gitarzystą zespołu, poślubił także modelkę Pattie Boyd. Jednak od 1966 roku Harrison ponownie mocniej zaangażował się w zespół oraz zaczął tworzyć coraz więcej piosenek. W przeciwieństwie do pozostałych utworów Beatlesów, jego piosenki wyróżniały się ostrym komentarzem politycznym (choćby „Taxman” będący satyrą na brytyjski system podatkowy), a także hinduskim brzmieniem. Fascynacja hinduizmem George'a wpływała także na pozostałych członków zespołu, z którymi George nawet udał się na wyprawę do Indii w 1968 roku, by tam poznawać tajniki medytacji. Jednak za najważniejsze momenty w karierze George'a, jako członka The Beatles, uznaje się nagranie piosenek „While My Guitar Gently Weeps” oraz „Something” w następujących po sobie latach 1968-69. Pierwsza z nich jest wyjątkowa również ze względu na udział Erica Claptona w nagrywaniu, druga zaś stała się jedynym hitem nr 1 The Beatles autorstwa George'a i po dziś dzień jest drugą najchętniej coverowaną piosenką zespołu. Z czasem jednak George'owi coraz bardziej zaczęła udzielać się atmosfera konfliktu w zespole i na początku 1969 roku odszedł z zespołu

na trzy dni, poirotowany ciągłym pouczeniem przez Paula. Koniec końców, rok później zespół się rozpadł i był to początek nowego okresu w życiu Harrisona.

Życie po The Beatles

Po opuszczeniu zespołu George wypuścił w 1970 roku dwupłyty album „All Things Must Pass”, na którym zebrał materiał z wielu lat. Z tego albumu pochodzi także piosenka „My Sweet Lord”, która jako pierwsza ze wszystkich piosenek byłych Beatlesów wspięła się na szczyty list przebojów. Kolejne albumy nie osiągały już takich wyników jak pierwszy, jednak George niezrażenie kontynuował swoją pracę. Na podobny sukces Harrison mógł liczyć dopiero w 1987 roku, gdy wydał piosenkę „Got My Mind Set On You”. Innym jego znanym projektem było współtworzenie zespołu Traveling Wilburys, w skład którego weszli także Jeff Lynne (Electric Light Orchestra), Roy Orbison, Bob Dylan oraz Tom Petty. Dodatkowo razem z Paulem McCartney'em oraz Ringo Starr'em na chwilę reaktywował The Beatles w latach 90-tych. Panowie nagrali wówczas piosenkę „Free As A Bird” oraz „Real Love” bazujące na domowych nagraniach Johna Lennona.

Okres poza The Beatles to jednak także okres zaangażowania w różnego rodzaju przedsięwzięcia. W 1971 roku zorganizował pierwszy w historii koncert charytatywny na rzecz Bangladeszu, na którym pojawili się chociażby Eric Clapton czy Bob Dylan. To właśnie George sfinansował film grupy Monty Python „Żywoć Briana”, co sprawiło

że Harrison założył własną wytwórnię filmową HandMade Records. Oprócz tego George z chęcią śledził wyścigi Formuły 1 (napisał nawet dedykowaną kierowcom F1 piosenkę „Faster”), a także wsparł finansowo Damona Hilla – mistrza świata F1 z 1996 roku.

Po rozpadzie zespołu w życiu George'a nastąpiły także inne zmiany. Harrison rozwiódł się z Pattie Boyd w 1977 roku, która zdecydowała się poślubić później Erica Claptona. Pomimo tego, iż Pattie wyszła potem za przyjaciela George'a, ten nie czuł do obojga urazy i pojawił się na ślubie pary. Rok później po raz drugi się ożenił, tym razem z Olivią Arias, z którą doczekał się swojego jedynego dziecka – syna Dhaniego. Pozostali małżeństwem aż do śmierci George'a w 2001 roku.

George wyróżniał się także najluźniejszym ze wszystkich członków zespołu stosunkiem do spuścizny The Beatles. Harrison chętnie żartował z różnych wydarzeń z historii zespołu, a niektóre z jego piosenek były parodiami jego beatlesowskich utworów. Dodatkowo on sam wystąpił w epizodycznej roli dziennikarza w komedii z 1978 roku stworzonej przez członka grupy Monty Python Erica Idle „The Rutles: All You Need Is Cash” parodiującej fenomen zespołu.

Śmierć w otoczeniu bliskich

George Harrison zmarł 29 listopada 2001 roku po kilkuletniej walce z rakiem krtani. Sam George przyznał, że przyczyną jego śmierci było wieloletnie palenie tytoniu, jednak do jego śmierci mógł przyczynić się także nieudany zamach na jego życie, który miał miejsce w 1999 roku. Do jego rezydencji włamał się chorujący na schizofrenię mężczyzna, który zaatakował nożem Harrisona, jednak dzięki interwencji żony byłemu Beatlesowi udało się przeżyć napaść. Początkowo zdawało się, że paradoksalnie atak wzmocnił Harrisona, który rok po tych nieszczęśliwych wydarzeniach wyglądał na zdrowego. Niestety, w 2001 roku doszło do nawrotu nowotworu z przerzutami do mózgu. George zmarł w otoczeniu bliskich oraz znajomych z Indii i zgodnie z jego ostatnią wolą hinduskim zwyczajem jego zwłoki spalono, a prochy wrzucono do świętej rzeki Indii – Gangesu. Spuścizna Harrisona to jednak nie tylko muzyka, to także świadectwo uduchowienia oraz poszukiwania odpowiedzi na pytania dotyczące naszej egzystencji. To także wezwanie do dobroczynności, kontynuowane m.in. przez fundację jego imienia.

Bartosz Kabaciński
barkab1@st.amu.edu.pl

Grazie Valentino

Zajmując dziesiąte miejsce w Grand Prix Walencji Valentino Rossi w wieku 42 lat, zakończył jedną z największych karier w historii sportów wyścigowych. Włoch zjeżdża z toru z dziewięcioma tytułami mistrza świata.

Urodził się w Urbino Rossi oraz wychował w zmotoryzowanej rodzinie, ponieważ jego ojciec – Graziano był zawodowym motocyklistą, startującym przez kilka sezonów w najwyższej klasie wyścigowej.

Początkowo „The Doctor”, jak go później nazwano, jeździł w wyścigach gokartów. Natomiast pierwsza okazja do startów na motorze pojawiła się w 1993 roku w klasie 125 ccm i już rok później zdobył mistrzostwo Włoch, które później dodatkowo obronił.

Debiut w mistrzostwach świata w klasach 125 ccm oraz 250 ccm

Po zdobyciu krajowego czempionatu w 1996 roku Rossi pierwszy raz wystartował w mistrzostwach świata w klasie 125 ccm, gdzie w klasyfikacji generalnej zajął dziewiątą lokatę. Jednak już w kolejnym sezonie Valentino Rossi jechał znakomicie i został najmłodszym mistrzem świata w kategorii 125 ccm, po czym przeszedł do klasy wyżej. W niej już w pierwszym sezonie zdobył wicemistrzostwo, jadąc na motocyklu Aprilli oraz wygrywając po drodze

pięć wyścigów. W następnym roku podobnie jak w klasie 125 ccm został najmłodszym mistrzem świata w historii, co dało mu awans do najwyższej kategorii wyścigowej 500 ccm.

Dominacja na początku XX wieku w 500 ccm /MotoGP

Valentino Rossi dzięki świetnej jeździe i wielkiemu talentowi w 2000 roku zadebiutował w klasie 500 ccm na motorze od Hondy. W swoim pierwszym sezonie dopiero 21-letni Rossi wygrał dwa wyścigi i został wicemistrzem. Rok później kompletnie zdominował rywalizację, będąc najlepszym aż w 11 wyścigach na 16 rozegranych, co dało mu wtedy ponad 100 punktów przewagi nad drugim Maxem Biaggim. Następnie, już w MotoGP, które zastąpiło klasę 500 ccm, aż do 2005 roku zdobywał mistrzostwo, po drodze przechodząc do Yamahy. Dopiero w 2006 roku lepszy od niego o zaledwie pięć punktów okazał się Nicky Hayden. Na kolejny tytuł Rossi musiał czekać do sezonu 2008, w którym wygrał połowę wyścigów. Natomiast rok później

„The Doctor” zdobył swój ostatni – siódmy tytuł w MotoGP oraz dziewiąty ogółem.

Przygoda z Ducati i rywalizacja z Lorenzo w 2015 roku

W 2011 roku Rossi przeszedł do Ducati, co okazało się dla niego kompletną porażką. Włoski zespół nie był w stanie zapewnić mu odpowiedniego sprzętu, przez co Rossi przejechał tylko dwa sezony i postanowił wrócić do Yamahy. W niej w latach 2014-2016 zajmował drugie miejsce w mistrzostwach, lecz najgłośniejszy był 2015 rok. Rossi jechał świetnie i przed ostatnim wyścigiem o Grand Prix w Walencji Włoch tylko dwa razy nie stał na podium, a do tego miał siedem punktów zapasu w klasyfikacji generalnej mistrzostw nad Jorge Lorenzo. Jednak w lepszej sytuacji był Hiszpan, ponieważ Rossi został uznany za winnego spowodowania upadku Marca Marqueza w poprzednim wyścigu w Malezji, co spowodowało odjęcie trzech punktów oraz start z ostatniego pola startowego. Po tej sytuacji Rossi otwarcie mówił o tym, że Mar-

Intruz



Nie jestem pewien, ale to chyba jakiś łańcuszek czy coś w tym rodzaju.

Niecodzienny widok. Na stole wypolerowane szkła od babci. Na regale roztawione świeczki zapachowe. W oknach wymienione zasłony. M. spędzająca przed lustrem więcej niż kwadrans. Dla kogo ona to wszystko zrobiła? Umieram z ciekawości. Na szczęście nie jestem długo trzymamy w niepewności, bo M. podbiega do drzwi. Kogo ona sprosiła do mieszkania? Nie będę nawet obstawiać. Nie mam bladego pojęcia.

Do mieszkania wchodzi gość. Gdzieś już widziałem tę kobietę. Na sto procent na jednym ze zdjęć w albumie. Tak, to przyjaciółka M. z dzieciństwa. Ale się jej zbrzydło. Zęby poźółkłe od palenia papierosów. Słabe, zniszczone włosy. Mało tego źle dobrany kolor farby. Uwidoczniły garb. Obwisła skóra. Jaka na zewnątrz, taka też w środku. Od kilku lat nie odpisała M. na żaden list. Nie dawała znaku życia. Tym razem postanowiła się łaskawie pojawić, jakby jej wizyta miała odczarować przeszłość. Nie, moja droga. Nie wystarczy, że wciśniesz się w zbyt małą czarną i założysz szpilki. Po prostu czasem już jest za późno i lepiej się nie pograżać.

Jak ona się trzęsie. Zmarzła. Na dworze jak nic poniżej zera. Szyby zamrażnięte. Paniusiu, trzeba było ubrać grubsze rajstopy. Należy również wziąć pod uwagę jej wewnętrzny chłód, który potrafi przyprawić o dreszcze. U nas, dzięki mojej zasłudze, panuje gorąca atmosfera. Gość M. na bank zacznie parskać przez tę różnicę temperatur. Tylko nie w moją stronę proszę.

Tak się im przyglądam i robi mi się niedobrze. Cóż za melodramatyczne przywitanie. Mogły podać sobie elegancko dłonie lub deli-

katnie się objąć. Jednak one musiały najpierw głęboko spojrzeć sobie w oczy, zbudować napięcie, aby następnie dziko paść sobie w objęcia. Wygląda to na wyreżyszerowane przywitania.

Czasem wystarczy kilka minut, by stwierdzić, że nie darzy się kogoś sympatią. Minęło ich pięć, a ja już chciałbym, żeby przyjaciółka M. wróciła do siebie. Męczy mnie jej obecność. A to dopiero początek.

M. jest niepoważna. Cieszy się jak głupia do sera. Czyżby zapomniała, ile łez przez nią wypłakała, ile nocy nie przespała. W tej chwili robi dobrą minę do złej gry. Od rana przygotowywała się do tej roli. Widziałem ją dziś, wylewającą na siebie cały flakon perfum. Swoją drogą, niezwykle duszących, to te, co podarowała jej kiedyś ciotka. Niewątpliwie, dość skuteczna taktyka walki z potem. Na szczęście ja nic nie czuję.

Nawet szkoda, że nie mam powonienia, bo widziałem, że M. podbiegła do piekarnika. Kaczka już się upiekła. Dobrze ma ta przyjaciółka. Przypomni o swoim istnieniu raz na kilka lat i w nagrodę ma darmową kolację. O widzę, że jednak przyniosła coś ze sobą. Już się bałem, że przyszła na sępa. Wytrawne czerwone wino. Tematycznie. Gorycz to jedyne, co potrafi po sobie pozostawić.

Zasiadają do stołu. M. ściąga fartuszek. Ma na sobie ceकिनową sukienkę. A to sroka, cała ona. Ważne, żeby błyszczeć. Jej przyjaciółce rozszerzyły się źrenice. Sprawdza sobie tętno. Zapewne boi się, że ktoś usłyszy, jak szybko bije jej serce. Nie może oderwać od niej wzroku. Ja również.

Wino ma powodzenie. Wcale mnie to nie dziwi. Atmosfera się rozluźnia. Obie rozsiadły się wygodnie. Buzie się im nie zamykają. Przyjaciółka rusza ramionami. Łapie się za brzuch. Jest wniebowzięta. Stara się wypaść jak najlepiej. Kroi mięsko na drobniutkie kawałeczki. Przeżuwa powoli i dokładnie. W ten sposób chce dać gospodyni wyraz swojego zadowolenia.

Jeśli wierzyć termometrowi, to na dworze robi się coraz zimniej. Jeśli wierzyć moim oczom, wewnątrz mieszkania robi się coraz goręcej. Wyciągnąłem ten wniosek na podstawie ubioru pań. Obie rozgrzane winem porzuciły swoje bolera na oparcie kanapy.

Zaraz, zaraz, co się dzieje? Przyjaciółka otworzyła buzię i wachluje sobie dłonią język. Czyżby trafiła na nierozdrobniony kawałek chili? Za ostre? Do oczu naszły jej łzy. Została wybita z rytmu. Rozgląda się teraz po pokoju. Coś czuje, że zaraz nadejdzie mój moment.

No w końcu! Zauważyła mnie. Nasze spojrzenia się skrzyżowały. Nie odwracaj wzroku!

Patrz na mnie! Dobrze zapamiętaj ten widok, bo będę siedział w twojej głowie przez całe spotkanie.

Jest zdezoriorowana. Dostrzegam jej trzęsące się nogi. Nerwowo spogląda na dłonie M. Brak pierścionka. Brak symbolu zniewolenia. Oddycha z ulgą. Uradował ją fakt, że M. jest wolna. Powiem więcej, ten szczegół zawazyłby na dalszym przebiegu spotkania.

M. nawet nie miała świadomości uczestnictwa w takim incydencie.

Ciekawe, co jej przyjaciółka sobie pomyślała. Kim jestem dla M.? Na pewno nie bratem, bo nie ma rodzeństwa. Na ojca za młody. Na syna za stary. Co się działo przez te ostatnie kilka lat? Gdyby tylko raczyła przeczytać listy...

Zaczynają oglądać album ze zdjęciami. Nudy. Przeszłość to przeszłość i nie ma, co jej rozgrzebywać. Zresztą M. robi to tylko z grzeczności przy swojej przyjaciółce. Trudno nie zauważyć tego, jak bardzo zakurzony jest ten album ze zdjęciami. Jej przyjaciółka też to zauważyła, mimo wszystko spina mięśnie twarzy i próbuje się uśmiechnąć. Ja zawsze jestem uśmiechnięty i czarujący, dlatego częściej niż na te zdjęcia M. spogląda na mnie.

Gość zdaje się ignorować ten fakt i z zawzięciem wertuje album. Pewnie poszukuje bruneta o piwnych oczach. Biedna, ludzi się, że jestem jakimś kuzynem M., czy kimś w podobnym charakterze. Ale ona jest uparta i naiwna. Wierzy, że M. otworzy przed nią serce i zdradzi wszystkie swoje sekrety.

Co się teraz dzieje? Nagle obie otwierają buzię z przejęciem. Co je tak poruszyło? Przed chwilą było tak spokojnie, a w tym momencie widzę, drgające szkło. Co jest na tyle ważne, aby o tym tak głośno mówić.

Niestety nie wiem, która fotografia wywołała tyle emocji. Kobiety wpatrują się w nią jak za hipnotyzowane. Rzucają między sobą porozumiewawcze spojrzenia i...

Cholera jasna! Zgasiła światło. Nie jestem kotem. Nie posiadam noktowizora. Ciemności zaburzają moją percepcję, która i tak jest ograniczona. Nie czuję smaku, zapachu i dotyku, nie słyszę, ale jestem obserwatorem. Nie takim zwykłym, biernym. W końcu mam wpływ na życie M. i to niemały.

Niech już nastanie jasność. Jestem niecierpliwy. Jestem zaintrygowany. Jestem podniecony. Jestem chciwy widoku, którego niedane mi oglądać.

O, zapaliła świeczki. Chociaż tyle... Co z tego, że zrobiło się nastrojowo, skoro gorzej widzę. No cóż, muszę wyteńczyć wzrok.

Spoglądam na zegar. Wybiła dziesiąta. Oznacza to, że nadeszła pora na deser. Gospodyni wybiega do kuchni po ciasteczka i kawę.

M. sprężaj się. Błagam cię, nie zostawiaj mnie z nią sam na sam.

W tym czasie kobieta poprawia włosy. Wyjmuje z torebki lusterko, szminek, tusz do rzęs i poprawia swój makijaż. Oprócz kosmetyków wyciąga z kieszeni coś jeszcze. Nie jestem pewien, ale to chyba jakiś łańcuszek czy coś w tym rodzaju.

Zółte plamy pod pachami, niedopita kawa, niedojedzone ciasto, ale ona się denerwuje. Obraca tym złomem w swoich paluszkach. Obchodzi się z nim jak z jajkiem.

Podchodzi do lustra. Rusza ustami. Coś próbuje z siebie wydukać. Widocznie trenuje. Do stała się szczękościsk, bo ledwo otwiera buzię. Ten żalony pokaz trwa kilka minut.

Koniec. Wreszcie. Aż się boję, co będzie dalej.

Zostawia lustro w spokoju i dla odmiany wbija teraz we mnie swój wzrok. Analizuje po kolei każdy szczegół mojego wyglądu. Traktuje mnie niczym muzealny eksponat.

Podchodzi coraz bliżej. Skrada się niczym pantera. Zdarza się jej lekko zachwiać. Staje naprzeciwko mnie, tak blisko, jak tylko się da. W swoich działaniach posuwa się jeszcze dalej. Delikatnie dotyka mojej ramki. Wodzą palcem po konturach. Tak, wiem, ramka jest lśniąca, niezakurzona. Wszystko to za sprawą tego, że M. o mnie pamięta i regularnie dba. Niewątpliwie przyjaciółka ma tego świadomość, bo jej usta wykrzywają się w bolesnym grymasie. Zaczynam się bać. Zarty się skończyły. Albo ja, albo ona.

Bierze głęboki oddech. Po chwili zawahania wgrzyza się w ramkę. To szczyt desperacji. M. będzie musiała wytrzeć później ślady śliny. Obrzydliwość.

Tak do cholery! Ramka jest ze złota! Tak, jest cenniejsza niż ten wisiołek, który zamierzasz dać M.

A ja? Ja jestem portretem bruneta, który stoi w złotej ramce na szafce. Wyeksponowany w takim miejscu, abym był widoczny dla każdego, kto tylko odwiedzi M. Nie przyszedłby jej na myśl chować mnie do starego albumu i skazać na zapomnienie.

Muszę raz na zawsze ugasić twój zapal. Znaczą dla M. więcej niż ty kiedykolwiek.

Przyjaciółka zdaje się o tym wiedzieć. Widzę jak przez mgłę, że migocący przedmiot z powrotem trafia na dno jej torebki. Tego wieczoru, nawet najśladzszy deser będzie miał dla niej gorzki smak.

Milena GUZIK
milguz@st.amu.edu.pl

quez w ostatnich wyścigach celowo jeździł przy nim agresywnie, aby pomóc swojemu koledze z zespołu (Lorenzo) w zdobyciu tytułu.

Valentino Rossi od samego początku rywalizacji w Walencji rozpoczął szalenczą pogoń za Lorenzo, zajmując ostatecznie czwarte miejsce. Niestety dla Włocha było to za mało, aby zdobyć mistrzostwo, ponieważ wyścig wygrał Jorge Lorenzo i wyprzedził Rossiego w klasyfikacji generalnej o zaledwie pięć punktów. Była to ostatnia szansa dla „The Doctora” na tytuł. Później przypominał jeszcze o sobie w 2018 roku, gdy był trzeci w klasyfikacji generalnej. Ostatni raz na podium stanął w 2020 roku w Grand Prix Andaluzji, zajmując jego najniższy stopień. Natomiast na zwieńczenie swojej kariery Valentino Rossi ukończył sezon na 18. miejscu w mistrzostwach. Włoch wziął udział w aż 431 wyścigach, a na podium stał 199 razy.

Spuścizna po Rossim

Rekordzistę w ilości zwycięstw w królewskiej kategorii (89) w czasach świetności można było po-

równać do Diego Maradony, ponieważ obaj prowadzili beztrudnie życie i wciąż nie dawali o sobie zapomnieć. Kibice sportów motorowych kochali Rossiego w taki sposób, że mógł się czuć na każdym wyścigu jak w domu. Zresztą sami Włosi nieprzerwanie zachwycali się jazdą Rossiego i będą ją jeszcze wspominać przez wiele lat. W 2014 roku „The Doctor”, aby na Półwyspie Apenińskim wciąż było można cieszyć się z jazdy rodaków, założył własną akademię o nazwie VR46 Racing Academy, spod której wyszli już między innymi Franco Morbidelli i Pecco Bagnaia. Spuścizną po Rossim nie zaginie, ponieważ już w tym sezonie wraz z nim w najwyższej kategorii ścigał się jego przyrodni brat Luca Marini. Samego dziewięciokrotnego mistrza świata kilka dni po wyścigu w Walencji doceniła Międzynarodowa Federacja Motocyklowa (FIM), wprowadzając go do MotoGP Hall of Fame. Valentino Rossi na zawsze pozostanie w pamięci fanów motosportu, a numer 46 będzie się kojarzył tylko z nim.

Kacper TYCZEWSKI
kactyc@st.amu.edu.pl



Valentino Rossi siedem razy był mistrzem świata MotoGP

Tenisowa samba w stolicy kraju tequili

Turniej tenisowych mistrzyń zawitał po raz pierwszy do Meksyku. Najważniejsza zaraz po turniejach wielkoszlemowych rywalizacja przyciągnęła osiem najlepszych zawodniczek sezonu, które w Guadalajarze walczyły o niezdołane wcześniej trofeum. Żadna z rywalizujących pań nie miała wcześniej przyjemności unieść pucharu WTA Finals. Ojczyzna Fridy Kahlo i fantastycznych Mariachi na kilka dni zamieniła się w stolicę tenisowych zmagania.

Zawody z historią pisaną od lat

Turniej mistrzyń, czyli zawody kończące sezon najlepszych zawodniczek świata, pojawił się w kalendarzu rozgrywek już na początku lat 70. Chris Evert sięgała po zwycięstwo w Boca Raton w 1972 roku. Na przestrzeni kolejnych dekad turniej rozgrywany był w formule pucharowej, a w zmaganiach uczestniczyło aż szesnaście zawodniczek. Lista mistrzyń przyprowadzić może nas o dreszcze, Martina Navratilova, Steffi Graf czy Monica Seles to tylko niektóre przykłady triumfatek ostatnich rozgrywek sezonu. Od początku jego ustanowienia nie wygrywały go przypadkowe nazwiska. Po latach postanowiono zmienić tę formułę i przekształcić turniej na podobieństwo męskiego Finals. 2003 rok to początek grupowej rywalizacji i umownego nowego otwarcia w historii turnieju mistrzyń. Jedynym czego nie udało się zmienić to zasady mówiącej o tym, że tylko będąc najlepszą można wygrać WTA Finals. Nazwiska takie jak siostry Williams, Maria Sharapova czy Kim Clijsters potwierdzają wielką tradycję rozgrywek. W ostatnich latach dla Polski był to turniej, który na nowo rozbudził wielkie nadzieje. Po latach przerwy do gry wróciły tenisistki z naszego kraju.

Doskonałe lata polskiego tenisa

Turniej mistrzyń zaczął pełnić bardzo ważne miejsce dla polskich fanów tenisa w 2009 roku. Katarska Doha ugościła najlepsze zawodniczki w końcu października. Jako dziesiąta w rankingu pojechała tam wówczas dwudziestoletnia Agnieszka Radwańska. Polka skorzystała z wycofania się dwóch rywalki i zadebiutowała w rozgrywkach. Jedyny mecz w grupie zakończyła zwycięstwem z Wiktorią Azarenką. Do 2016 roku na turniej nie pojechała tylko raz. Czterokrotnie wychodziła z grupy i grała w najlepszej czwórce. Jeden raz udało się jej skończyć sezon na całym świecie, grając w finale turnieju mistrzyń. Cudownie dziś wspominać singapurskie zmagania z 2015 roku, turniej zakończył się 1 listopada, a w ten szczególny dla Polaków dzień Radwańska postanowiła zaskoczyć cały kraj. Krakowianka nie bez problemów awansowała do finału. W grupie wygrała tylko jeden mecz, ale inne wyniki złożyły się na sukces piątej rakiety świata. Wygrana w dramatycznym meczu o awans z Simoną Halep dała jej półfinał z Hiszpanką Garbinę Muguruza. Prawie trzygodzinny horror Polka zakończyła 7:5 w trzeciej partii i zapewniła sobie grę w ostatnim meczu roku. Spotkanie z Petrą Kvitovą nie odbiegało od innych zmagania Krakowianki w Azji i zakończyło się w trzech setach, a po ostatniej piłce popu-



Zawodniczki biorące udział w WTA Finals

larna Isia mogła unieść ręce w geście triumfu. Stała się pierwszą i jak dotąd jedyną zawodniczką z Wisły, która wywalczyła ten istotny tytuł.

Rok szczególny dla wielu tenisistek

Decyzja o wycofaniu się liderki rankingu Australijki Ash Barty była wielkim zaskoczeniem dla wielu fanów dyscypliny, było też powodem do rozpoczęcia dyskusji nad kolejną, nową mistrzynią WTA Finals. Żadna z obecnych w Guadalajarze tenisistek nigdy nie wygrała tych zawodów, co więcej, wiele z nich zadebiutowało w imprezie. Wśród tej grupy należy wymienić Barborę Krejčíkovą, Marię Sakkari, Paulę Badosę, Anett Kontaveit czy naszą Igę Świątek. Doświadczenie w finałowych zmaganiach miały tylko Garbinę Muguruza, Karolina Pliskova i Aryna Sabalenka.

Zażarta walka grupowa

Zarówno w jednej, jak i drugiej grupie rywalizacja o najlepszą czwórkę trwała do ostatniego spotkania. Grupa Chichen Itza to wielki tenisowy popis Pauli Badosy i Marii Sakkari. Młoda Hiszpanka pokonała dwie rywalki i awansowała z pierwszej pozycji do półfinału. Nie oddała seta zarówno Marii Sakkari, jak i Arynie Sabalence. Tylko Iga Świątek potrafiła ugrać zwycięstwo z tenisistką urodzoną w Nowym Jorku. Dla Polki nie był to jednak turniej, który sportowo zapamięta na długo. Po słabym meczu z Greczynką zagrała dwa solidne mecze. Niestety tylko jedno z nich zakończyło się triumfem, przez co Iga nie zdołała awansować do najlepszej czwórki. Z jej grupy do tego grona obok Hiszpanki awansowała także Sakkari, która w bezpośrednim, prawie trzygodzinnym pojedynku zwyciężyła Arynę Sabalencę. Do ciekawej sytuacji doszło w grupie Teotihuacan. Po wszystkich meczach aż trzy zawodniczki miały dwa zwycięstwa na swoim koncie. Kontaveit, Pliskova i Muguruza przegrały tylko po jednym pojedynku. O awansie zdecydowała więc mała tabela wygranych i przegranych setów. W niej

najlepsze okazały się Estonka i Hiszpanka, które to uzupełniły grono półfinalistek turnieju WTA Finals.

Ostatnie akty długiej tenisowej podróży

W półfinałach naprzeciw siebie stanęły jedynki i dwójki obu grup. Pierwsze na kort wyszły Hiszpanki Garbinę Muguruza, dla której był to drugi półfinał turnieju WTA Finals oraz debiutantka na tym etapie zawodów Masters, Paula Badosa. Spotkanie przebiegło zaskakująco jednostronnie, a słabo dysponowana, młodsza Badosa nie miała żadnego pomysłu na to, jak pokonać starszą koleżankę. Popelniała aż 30 niewymuszonych błędów i przegrała 3:6, 3:6. Do Muguruzy dołączyła Anett Kontaveit. Estonka pokonała w meczu 1/2 finału Marię Sakkari. Było to już ich piąte spotkanie w tym sezonie, trzecie zwycięskie dla urodzonej w Tallinie Kontaveit. W trzysetowym pojedynku to zwyciężczyni była stroną atakującą, co potwierdza zdobycie 32 uderzeń wygrywających. W finale spotkały się dwie nisko rozstawione rywalki. Rakiety numer sześć i osiem w rankingu Race rozwiały wszelkie obawy dotyczące intensywności ostatniego meczu sezonu i zaprezentowały wysoki poziom. Pierwsza partia była wyrównana do stanu po trzy, w kolejnych gemach inicjatywę zaczęła przejmować starsza Hiszpanka i to ona objęła prowadzenie w meczu. Nie oddała go także w kolejnym secie, mimo iż Kontaveit prowadziła już 5 do 3. Garbinę Muguruza nie straciła wiary i wygrała cztery kolejne gemy. Mecz zakończył się zwycięstwem bardziej doświadczonej mistrzyni wielkoszlemowej, która wygrała 6-3, 7-5. Po raz pierwszy w karierze zakończyła sezon wygraną w turnieju WTA Finals.

Przed zawodniczkami zasłużone wakacje po trudnym i wyczerpującym sezonie. Nie będzie to długa przerwa, gdyż już na początku stycznia rozpocznie się kolejny cykl, który miejmy nadzieję, przysporzy nam nie mniej emocji niż ten, który już za nami.

Eryk WIĘSYK
Erywie@st.amu.edu.pl

Djoković zrewanżował się za finał US Open!

Lider rankingu zwyciężył z Daniilem Miedwiediewem po trzysetowym meczu. Dla Serba to szósty triumf w turnieju ATP Masters 1000 w Paryżu. Jednocześnie Djoković w ciągu tego tygodnia zapewnił sobie pierwsze miejsce w rankingu na koniec roku. To siódmy sezon, który popularny „Nole” skończy jako najlepszy tenisista świata.

Ciekawe wyniki

Kolejny dobry turniej zagrał Taylor Fritz, który doszedł do ćwierćfinału. Po drodze pokonał Lorenzo Sonego, Andrieja Rublowa i Camerona Norriego. Zatrzymał go dopiero Djoković. Na uwagę zasługuje także występ Hugo Gastona. 21-letni reprezentant gospodarzy zagrał turniej życia, dochodząc do 1/4 finału, gdzie musiał uznać wyższość Miedwiediewa. We wcześniejszej rundzie pokonał Carlosa Alcaraza 6:4, 7:5. W drugiej partii Francuz przegrywał już 0:5, ale zdołał odwrócić losy tego seta i zamknął mecz w dwóch odśłonach.

Hurkacz zagra w ATP Finals!

Polak dzięki świetnemu występowi w Paryżu zagwarantował sobie udział w bardzo prestiżowym turnieju kończącym sezon,

w którym gra ośmiu najlepszych zawodników danego roku. Wrocławianin był lepszy od Tommy'ego Paula, Dominika Koepfery oraz Jamesa Duckwortha, dla którego ćwierćfinał w ubiegłym tygodniu był najlepszym wynikiem w dotychczasowej karierze. Hurkacz zakończył zmagania na półfinale, w którym przegrał z Djokovićem. Po tym trzysetowym spotkaniu Serb napisał miłe słowa o Polaku na swoim portalu społecznościowym: „Hubi ma jedną z najlepszych osobowości w tourze i zasługuje na całe wsparcie, jakie dostaje”. W najnowszym rankingu z 8 listopada Hurkacz plasuje się na 9. miejscu. Żaden polski tenisista nie był sklasyfikowany tak wysoko. Turniej ATP Finals rozpocznie się 14 listopada w Turynie.

Słodki rewanż

Finał zaczął się nerwowo. Już w pierwszym gemie Miedwiediew przełamał Djokovicia, ale Serb szybko powrócił do formy. W szóstym gemie lider rankingu miał break pointa, ale Rosjanin się obronił, a następnie znowu przełamał rywala i zapisał pierwszą partię na swoim koncie (6:4). Od początku drugiego seta inicjatywę przejął Djoković, który pewnie wygrywał własne gemy serwisowe. Z kolei Miedwiediew miał niższą skuteczność trafionego pierwszego serwisu, a także wygrywanych punktów po drugim serwisie. Rosjanin był w stanie przełamać Ser-

ba w decydującej partii, ale sam stracił podanie trzykrotnie. Dla 34-latkę z Belgradu to 37. zwycięstwo w turnieju rangi Masters 1000. Jest pod tym względem rekordzistą. O jeden tytuł mniej ma Rafael Nadal. Natomiast Roger Federer – 28.

Wynik finału:

Novak Djoković 4:6, 6:3, 6:3 Daniil Miedwiediew

Kamil KWIATKOWSKI
kamkwi3@st.amu.edu.pl



Triumf w Paryżu to dla Djokovicia 86. tytuł w karierze